

## Nauczanie zdalne

Cyfryzacja na skalę społeczną jest skomplikowanym procesem. Jeśli ma się powieść, muszą być spełnione cztery warunki. Po pierwsze, musi być opracowana odpowiednia technologia. Po drugie, ta nowa technologia musi być wdrożona u usługodawców. Po trzecie, na jej akceptację muszą być gotowi usługobiorcy. Wreszcie po czwarte, prawo musi dopuszczać jej stosowanie w praktyce.

Technologia jest zawsze pierwsza, bo bez niej cały proces jest niemożliwy. Dalej zaczynają się schody, których imieniem jest „ryzyko”. Usługodawcy muszą podjąć ryzyko wdrożenia nowej technologii, choć jeszcze nie ma dla niej rynku zbytu. To zawsze wiąże się z kosztami zarówno samego wdrożenia, jak i promocji nowych możliwości na rynku, ale również z nadzieją na przyszły zysk. Usługobiorcy z kolei muszą zainwestować swój czas, a czasami również pieniądze, w opanowanie nowej technologii i przezwyciężenie strachu przed jej używaniem.

Tutaj progresiści walczą z konserwatystami. Progresiści chcieliby taką nową technologię stosować jak najszybciej i jak najszerszej, a konserwatyści woleliby w ogóle jej nie stosować, tylko podążać starymi koleinami, w których czują się mocni i bezpieczni.

Ostatnim warunkiem koniecznym do osiągnięcia sukcesu są prawnicy. Prawo prawie zawsze wlecze się za technologią – niewiele jest takich rozwiązań prawnych, które zakładają z góry rozwój technologiczny. Prawnicy natomiast kierują się najczęściej „ostrożnością prawną” i jeśli nie są czegoś na 100% pewni, to tego zabraniają. I po innowacjach.

Kiedyś słyszałem taką historię z życia Steve’a Jobsa. Jobs przychodzi na zebranie zarządu i przedstawia swój nowy pomysł. Na to jego prawnik – Tego nie możesz zrobić! A na to Jobs – Jesteś zwolniony. Nie zatrudniam cię, abys mówił mi, że czegoś nie mogę zrobić, tylko po to, abys mówił mi, jak to zrobić. WOW! Chciałoby się, aby wszyscy prawnicy byli tacy, jak chciał Jobs.

To o czym piszę, to wypisz wymaluj obecna sytuacja z nauczaniem zdalnym w szkołach. Szkoły przeżywają szok, bo mają uczyć, ale uczniowie nie mogą przychodzić do klas. Jedyne co przychodzi w takiej sytuacji na myśl, to zdalne nauczanie. Ze względu na szok nagle wszyscy są chętni. Diabeł jednak tkwi w szczegółach.

Narzędzia informatyczne do nauczania zdalnego istnieją od dawna. Niektóre to nawet całe zintegrowane platformy wspomagające zdalne nauczanie na różne sposoby. Niestety nie

wszystkie szkoły mają dostęp do szerokopasmowego internetu, aby objąć wszystkich uczniów. Nauczyciele entuzjaści e-kształcenia potrafią się świetnie takimi narzędziami posługiwać, ale nauczyciele konserwatyści muszą się dopiero tego w szybkim tempie nauczyć. Cóż, lepiej późno niż wcale.

Uczniowie najchętniej nigdy nie wyłączyliby swoich smartfonów. Doskonale wiedzą, jak się nimi posługiwać, ale mają praktykę z czatowaniem ze znajomymi i rozrywką, a nie z nauką. Ministerstwo Edukacji pod wpływem szoku pewnie zabierze się teraz za przygotowywanie kolejnej „strategii”.

Prawdziwy problem polega jednak na tym, że kształcenie na odległość wymaga zupełnie innej metodyki nauczania. Nauczanie a samokształcenie to nie to samo. Im młodszy uczeń, tym trudniej mu kształcić się samemu na podstawie materiałów nawet multimedialnych. Lekcja w klasie z nauczycielem i w obecności innych uczniów, a więc z elementami społecznymi, to nie to samo co wiadomości i filmiki na smartfonie. Zadawanie dzieciom przez internet zadań domowych, to nie jest nauczanie zdalne.

Koronawirus zniknie, a nauczanie zdalne powinno pozostać na stałe wpisane w polski system edukacyjny zanim pojawi się nowy wirus, lub podobny szok. MEN musi opracować instrumentarium prawne, pedagodzy muszą opracować odpowiednie metodyki dostosowane do poszczególnych przedmiotów, a nauczyciele muszą je opanować, wzorując się na entuzjastach i prowadzonych przez nich eksperymentach. Tylko wtedy nie zmarnujemy szans młodego pokolenia, którego przeznaczeniem jest uczenie się przez całe życie.